

Teatra polskie. Elementarz

Kwiecień to od lat (z pewnością więcej niż ośmiu) początek polskiego sezonu wielkich przedstawień politycznych, który w tym roku mieć będzie huczną kulminację w jubileuszowym listopadzie. Na jego początku nie od rzeczy będzie więc może powtórzyć sobie lekcję podstawową - pisze Dariusz Kosiński.

Repetitio est mater studiorum - mówili starożytni, a ich nowocześni następcy dodają, że practise makes perfect. Idąc za tymi wskazaniem proponuję powtórkę z tego, o czym już mówiłem i pisałem wielokrotnie, ale jak dotąd ze skutecznością niewielką, co zapewne jest w większej mierze winą moją, niż słuchaczy

i czytelników. W obu przypadkach jednak powtórka się przyda: mnie może przybliży do skuteczności w wyjaśnianiu, a zainteresowanych do zrozumienia tego, co usiłuję powiedzieć. Może też - kto wie - pilni czytelnicy e-teatru ze sfer rządowych też zajrzą do tego felietonu i jakaś żaróweczka się im w umysłach zajarzy?

Powtórka dotyczyć będzie kwestii elementarnej dla tego, co z zamiłowaniem uprawiam od kilku lat, a mianowicie badań teatralnych nad przedstawieniami nieteatralnymi (proszę zauważyć, jak pilnie wystrzegam się raniącego delikatne uszy słowa "performatyka"). Mam (naiwną być może) wiarę, że wiedza zdobyta poprzez stały kontakt i namysł nad teatrem i innymi przedstawieniami artystycznymi w ich rozmaitych dawnych i współczesnych formach pozwala wnieść ważną perspektywę przyczyniającą się do lepszego zrozumienia zjawisk życia zbiorowego (indywidualnego też, ale zostawmy to teraz), którymi zajmują się zazwyczaj socjologowie, politolodzy, dziennikarze, mediancy, politycy i w końcu "zwykli ludzie". Wynika to z prostego faktu, że osoby zajmujące się zawodowo teatrem wiedzą nieco więcej o przedstawieniach, a życie zbiorowe, zwłaszcza polityczne, na naszych oczach stało się już nie przedstawieniowe, ale wręcz nadprzedstawieniowe. Polskiej polityki ostatnich kilku lat nie zmieniły radykalnie ustawy, nowe projekty ustrojowe, nie mówiąc już o nowych ideach czy dalekosiężnych programach. Zmieniły ją zbiorowe przedstawienia z dwoma najważniejszymi na czele: miesięcznikami smoleńskimi i Marszem Niepodległości. Oczywiście nie same i nie bez głębokich przyczyn, niemniej jednak to one, wraz ze swoimi reprezentacjami medialnymi, dokonały zasadniczych zmian w postawach i sposobach myślenia, a następnie (ale dopiero potem!) w wyborach politycznych. Dlatego dla zrozumienia tego, co i dlaczego dzieje się wokół nas i z nami, potrzebna jest nie tylko wiedza socjologiczna, politologiczna i medioznawcza, ale właśnie teatralno-dramaturgiczna.

Niestety jej sensowne zastosowanie oraz zrozumienie rezultatów takiego zabiegu potyka się nieustannie o nawyki myślowe i językowe. Choć od ponad stu lat teatr pudełkowo-iluzyjny jest w kryzysie, to wytworzone przez okres jego królowania w XIX wieku przyzwyczajenia zachowują trwałość. Jednym z koronnych dowodów na słuszność tej tezy jest to, że w polskim języku politycznym słowa związane z teatrem używane są nagminnie jako inwektywy. Gdy chce się odebrać powagę i sprawczość działaniom przeciwników, mówi się, że robią "teatr" lub wręcz "teatrzyk". Oznacza to, że albo starają się okłamać społeczeństwo ukrywając prawdziwe cele i wiodące do nich nieczne zabiegi, albo że nie mają do zaproponowania niczego konkretnego, więc powołują "spektakl polityczny", angażujący energię społeczną w coś, co żadnych realnych skutków przynieść nie może. Nieustanne używanie takiej terminologii nie świadczy najlepiej o samoświadomości polskich polityków i wspierających ich mediantów, albo też wręcz ujawnia dominujący sposób myślenia o tym, czym polityka jest (nie wiadomo, co gorsze). Dowodzi też słabej orientacji w przemianach zachodzących od dekad w sztuce teatru. Tylko ktoś, kto od dawna w rzeczywistym teatrze nie był i swoje wyobrażenia kształtuje na podstawie wspomnień z młodości (i to raczej z oglądania Teatru Telewizji niż przedstawienia na żywo), może myśleć, że teatr to czysta fikcja nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością. Teatr wyrasta z rzeczywistości i na rzeczywistość działa, często skuteczniej i głębiej niż niejedno wydarzenie "realne". Polityka zaś, zwłaszcza polityka współczesna,

w dużej mierze polega na powoływaniu przedstawień, w których aktorzy polityczni dążą do stworzenia jak najbardziej przekonujących kreacji i zdobycia jak największego poparcia publiczności. Jest doprawdy banałem stwierdzenie, że i demokracja, i autorytaryzm, zasadzają się na tworzeniu wyrazistych postaci, z którymi można się identyfikować lub przynajmniej fascynować, a także na inicjowaniu przedstawień i dramatów skupiających uwagę i skłaniających do wzięcia w nich udziału. Celem przedstawień politycznych jest to samo, co celem przedstawień teatralnych - wciągnięcie publiczności w akcję. Oczywiście ukształtowany w Europie począwszy od wieku XVI model teatru ze sceną pudełkową,

uznawany dziś za najbardziej "tradycyjny" i powszechnie rozpoznawany jako "właściwy", owo wciągnięcie sprowadza do iluzji, "zaczarowania", które miało przenieść widzów w świat sceny, metaforycznie przedstawiany jako sen o innej rzeczywistości. Ale już od końca wieku XIX, czyli naprawdę od prawie 150 lat model ten jest rozbijany a ludzie teatru na najrozmaitsze sposoby dążą do tego, by doświadczenie widza było jak najbardziej rzeczywiste i przynosiło realne skutki.

Trzeba też wyjaśnić, że podobieństwa i analogie między polityką a teatrem, nie wynikają z tego, że politycy nauczyli się czegoś od teatru i przejęli jego strategię i taktyki. Nie musieli tego robić, bo wspólnym gruntem dla obu sfer ludzkiego działania jest przedstawieniowy charakter ludzkiej kultury (jeśli nie wręcz - egzystencji) polegający na tym, że każdorazowo i nieustannie konstruujemy i jednocześnie wystawiamy siebie, by przekonać innych do nas i wzajemnie - otrzymać potwierdzenie obrazu własnego "ja". Dzieje się tak w życiu jednostek, dzieje tym bardziej w życiu społecznym, gdzie tożsamość grupy (wcale nie dana w pełni z "natury") jest tworzona właśnie przez wcielony udział we wspólnych przedstawieniach: świętach, tradycjach, demonstracjach, wydarzeniach artystycznych, sportowych itd. Tak właśnie tworzy się ów hołubiony w deklaracjach obecnego rządu "naród kulturowy" i doprawdy trudno zrozumieć, że ludzie wysoko ceniący niematerialne dziedzictwo kultury (czyli jej przedstawienia właśnie!) i poświęcający tyle energii i środków na powoływanie przedstawień społecznych (vide program obchodów stulecia niepodległości) z taką niechęcią reagują na używanie określeń teatralnych w kontekście polityki. Najwyraźniej działa tu jakiś odruchowy mechanizm wyparcia blokujący racjonalność, albo podświadomy lęk wyrastający z poczucia nierealności własnego życia, które wrażliwym jednostkom towarzyszyło zawsze, a które we współczesnej rzeczywistości hipermedialnej spotęgowało się ogromnie.

W tym kontekście warto może zauważyć frapującą niekonsekwencję: lęk przed iluzją, fikcją, fasadowością itd. dotyczy działań podejmowanych przez realne ciała w materialnej przestrzeni, a chyba nie budzi się w odniesieniu do akcji prowadzonych na wirtualnych scenach przy pomocy medialnych awatarów. Wybory wygrywa się dzięki manipulacjom profilami na Facebooku, politykę zagraniczną prowadzi na Twitterze, ale bodaj nikt nie pomyślał, że to iluzje. Wymyślono natomiast specjalne pojęcia (fake news, post-prawda), usiłujące uchwycić tę niepewną sferę zakłócającą relacje między tym, co zwykliśmy nazywać rzeczywistością a tym, czego nie chcemy za nią uznać.

Z logicznego punktu widzenia przedstawienia społeczne i kulturowe też tworzą taką sferę, ale tu język aktorów życia społecznego staje okoniem i kołkiem, domagając się wprowadzenia sztywnych podziałów: to nie jest teatr, panie pośle - to życie! Wbrew temu powtarzam od lat nie tylko to, że teatr istotny dotyczy życia, a nawet ma życie w sobie, więc chcąc o życiu powiedzieć coś więcej niż to, że jest ciężkie i bywa

w nim różnie, warto do teatru czasem zajrzeć, ale też i to, że myślenie o zjawiskach życia społecznego jako o przedstawieniach nie pozbawia ich realności, skuteczności i powagi, pozwala je natomiast lepiej zrozumieć, zwłaszcza w aspekcie nieliterackim, nie związanym z rzeczami mówionymi, ale dramatycznym - dotyczącym rzeczy czynionych i doświadczanych. Żeby wiedzieć, co przeżyłeś (a nie: co ci powiedziano), pomyśl - choćby na próbę - o tym, co robisz, co cię spotkało, jako o przedstawieniu bliskim teatralnemu w tym, że angażuje żywe organizmy, w materialnej przestrzeni i w danym czasie.

Medialne oszołomienie - i to dodam jako element nowy - sprawia, że takie przedstawienia się lekceważą a jednocześnie problematyzuje, wskazując na rosnącą lawinowo liczbę technologii umieszczających je w sieci niezliczonych powiązań i niejako "dematerializujących". Jasne: podstawowy gest żałobny Polaków widocznych na zdjęciach z kwietnia 2010 to trzymanie przed twarzą komórki dla zrobienia fotografii lub filmu (co celnie zauważył kiedyś Paweł Goźliński). Oczywiście: każdy uczestnik Marszu Niepodległości ma smartfona i przy jego pomocy natychmiast przenosi przestrzeń Marszu w sferę inną niż ulice Warszawy (uwaga Mateusza Borowskiego na niedawnej dyskusji krakowskiej o moim tekście na temat Marszu). Ale bez ciał trzymających te komórki i smartfony w tym miejscu i czasie, oraz wytwarzających coś więcej niż zdjęcia i tweety, nie miałyby one takiego znaczenia. Dziesięć tysięcy ludzi idących ulicami i robiących zdjęcia to co najwyżej flash mob i zakłócenie porządku publicznego. Dziesięć tysięcy ludzi skandujących "Tu jest Polska" to polityczny fakt, którego znaczenia nie osłabia, a wręcz wzmacnia to, że to samo hasło może sobie w każdej chwili wrzucić na profile nawet i sto tysięcy. Sieć służy ułatwieniu działania, ale

ułatwienie oznacza też brak znaczenia. Skoro wszyscy mogą, wszyscy gadają, wszyscy blogują, czatują, klną, hejtują, wypowiadają fundamentalne prawdy i radykalne manifesty, to wszystko to zamienia się w papkę, którą jednym gestem odsuwa na bok samotna osoba stojąca na rynku małego miasta w dzień Czarnego Protestu, albo dziesięciu nacjonalistów wieszających na szubienicach portrety europosłów. I w niczym nie zmienia tego fakt, że ich twarze, słowa i komentarze też znamy z Sieci i że w Sieci będą na sieciowy sposób żyły. Ostatnie lata - nie tylko w Polsce - mocno to potwierdzają: im gęstsza Sieć, tym ważniejsze przedstawiające ciało, które ją rozcina i w okół którego ona się zaplątuje. I tym ważniejsze, by o tym ciele i jego przedstawieniach myśleć serio i w miarę możliwości fachowo.

Co jako wiosenne pocieszenie posyłam wszystkim często wąpiącym, z samym sobą na czele.

Dariusz Kosiński
Materiał własny
23-04-2018